

[Romowa starej Agaty i księdza]

– Wypędzili was Kłębowie, co? A może to ino niezgoda?... może...

Nie zaraz odrzekła, wyprostowała się nieco, powlekła ciężko starymi wypełzłymi oczami po polach ojesieniałych, pustych i po dachach wsi, zanurzonej w sadach.

– I... nie wypędzali... jakżeby... dobre są ludzie – krewniaki. Niezgody też nijakiej być nie było. Samam ino zmiarkowała, że trza mi w świat. Z cudzego woza to złaż choć i w pół morza.

Trza było... roboty już la mnie nie miały... na zimę idzie, to jakże – darmo mi to dadzą warzę abo i ten kąt do spania?...

A że rychtyk i ciołka odsadzili od maci... a i gąski, bo to już zimne nocki, trza zagnać pod strzechę, tom i zrobiła miejsce... jakże, bydłatek szkoda, Boże, stworzenie też... A ludzie dobre, bo mię choć latem przytulą, kąta ani tej łyżki strawy nie żałują, że se człowiek kiej jaka gospodyni paradyje...

A na zimę we świat, po proszonym.

Niewiela mi potrza, to se u dobrych ludzi uproszę i do zwiesny z Panajezusową łaską przechyrlam, a jeszcze się coś niecoś grosza uścibi – to rychtyk la nich na przednowek... krewniaki przeciech...

A już ta Jezusiczek przenajśłodszy biedoty opuścić nie opuści.

– Nie opuści, nie – zawołał gorąco i wstydliwie wsadził jej w garść złotówkę.

– Dobrodzieju nasz serdeczny, dobrodzieju!

Przypadła mu do kolan roztrzęsioną głową, a łzy jak groch posypały się po jej twarzy szarej i zradlonej jak te jesienne podórki.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 1, s. 7-8]

[Realizm – opis wnętrza Borynowej chałupy]

W izbie było już czarniawo, bo przez małe okienka, przysłonięte okapem i zagajone drzewami, mało przeciskało się światła, a i mrozczało już na świecie, że tylko połyskiwały szkła obrazów świętych, co rzędem czerniły się na bielonych ścianach; izba była duża, ale przygnieciona czarnym pułapem i ogromnymi belkami pod nim, i tak zastawiona różnym sprzętem, że tylko koło wielkiego komina z okapem, co stał przy siennej ścianie, było niecoś swobodnego miejsca.

Boryna się rozżuł i poszedł do ciemnego alkierza, zamykając drzwi za sobą, odsunął z małej szybki deskę, że zachodnie światło krwawym brzaskiem zalało alkierz.

Izdebka pełna była różnych rupieci i statków gospodarskich, na drążkach, w poprzek przewieszonych, wisiały kozuchy, czerwone pasiaste wełniaki, białe sukmany, to całe pęki motków szarej przędzy i zwinięte w kłęby brudne runa owiec i worki z pierzem. Wyciągnął białą sukmanę i pas czerwony, a potem długo czegoś szukał w beczkach napełnionych zbożem, to w kącie pod stosem starych rzemieni i żelastwa, aż usłyszawszy Hankę w pierwsze izbie, zaciągnął deskę na okienko i znowu coś długo grzebał w zbożu.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 2, s. 20]

[Rozmyślenia Boryny]

– Ścierwa ten chłopak, to ino pasy drzeć, żeby zmarnować taką krowę – mrucał powracając do izby, gdzie się odział w nową kapotę białą, wyszywaną na wszystkich szwach czarnymi tasiemkami, nadział wysoki czarny kapelus, okręcił się czerwonym pasem i poszedł drogą nad stawem ku młynowi.

– Roboty jeszcze tyła... zwózka drzewa... siew nie skończony... kapusta w polu... ściółka nie wygrabiona... podorać by trza na kartofle... dobrze by i pod owsy... a tu jedź na sądy... Laboga, że to człek nigdy obrobić się nie obrobi, ino ciągiem jak ten wół w jarzmie... że i wyspać się nie ma czasu ni odpocząć... – rozmyślał. – A tu i ten sąd... Tłumok ścierwa, hale, ja z nią sy-piałem... żebyś ozór straciła... lakudro jakaś... suka... – splunął ze złością, nabił fajeczkę machorką i długo pocierał zwilgotniałe zapałki o portki, nim zapalił.

Pykał od czasu do czasu i włókł się wolno; bolały go wszystkie kości i żale za krową raz w raz go markociły i rozbierały.

A tu ani odbić się na kim, ani wyzalić, nic... sam jak ten kołek; sam o wszystkim myśl, sam deliberyj łbem, sam kiele wszystkiego obiegaj kiej ten pies... a do nikogój słowa przemówić i rady znikąd ni pomocy – a ino strata i upadek... a wszystkie to kiej te wilki za owcą... a ino skubią, a patrzą, kiedy ozerwą w kawały...

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 2, s. 23-24]

[Rozgoryczony Boryna]

– Spokojnego oczymgnięcia nie ma, ino kłyżnij się ze wszystkimi! – myślał i wziął się do obleczenia, ale zły był i zgryziony. Jakże, ciągnęła wojna z synem, słowa nie można rzec, bo zaraz do oczów z pazurami skacze albo rzeknie coś, co jaże we wątpiach poczujesz. Na nikogo się spuścić, ino haruj i haruj!

Złość w nim zbierała, aż poklinał z cicha i rzucał szmatami po izbie a butami.

– Słuchać się powinny, a nie słuchają! Czemu to? – myślał.

– Widzi mi się, co bez kijaszka z nimi obyć się nie obędzie, bez twardego! Dawno się im to należało, zaraz po śmierci nieboszczki, kiej kłyżnić się zaczęły o gronta, ale się jeszcze wagował, żeby zgorzenia we wsi nie czy nic. Gospodarz był przeciech nie leda jaki, na trzydziestu morgach, i z rodu nie bele chto – Boryna, wiadomo. Ale dobrością z nimi się nie skończy, nie!... – Tu przyszedł mu na myśl zieć, kowal, któren wszystkich po cichu burzył, a i sam wciąż nastawał, żeby mu sześć morgów odpisać i morgę lasu, a już na resztę chciał poczekać...

– To niby kiej zamrę! Poczekaj, jucho, poczekaj – myślał ze złością. – Póki się ino rucham, nie powąchasz ty ani zagona! Wiedzisz go, mądrala!

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 3, s. 36]

[Narracja – narrator środowiskowy, wsiowy gaduła]

Jacek, już teraz jako woźny, boso, w modrych portkach i takimże lejniku z mosiężnymi guzikami, z czerwoną, spoconą twarzą, którą raz w raz obcierał rękawem, uwijał się za czarnymi kratami, dzielącymi izbę na dwie połowy, i rzucał łbem niby koń, kiej go giez ukąsi, bo płowe włosy spadały mu grzywą na oczy, to zaglądał ostrożnie do sąsiedniej stacji i potem siadał na chwilę pod zielonym piecem.

A narodu się nawaliło, że ani palca wetknąć, i parli się coraz krzepiej na kraty, aż trzeszczały; gwar zrazu cichy podnosił się z wolna, szemrał, przewalał po izbie, huczał czasami, przechodził miejscami -w kłótnię, że jakie takie mocne słowo padało coraz gęściej.

Żydzi szwargotali pod oknami, a jakieś baby na głos opowiadały swoje krzywdy i jeszcze głośniej popłakiwały, ale nie można było rozeznac, kto i gdzie, bo ciasnota była i głowa przy głowie, jako ten zagon pełen maków czerwonych i kłosów żytnich, co go ten wiatr żenie, a on się zakolebie i gwarzy, i szumi, a potem staje równo kłos przy kłosie. To znowu Jewka, dojrawszy Borynę wspartego o kraty, jęła dogadywać i wykrzykiwać na niego, że zeźlony odrzekł ostro:

– Zamilknij, suko, bo ci gnatkę porachuję, że rodzona nie pozna.

A na to Jewka rozstrożona już pazury wyciągać i drzeć się do niego przez gęstwę ludzką, aż jej chustka spadła z głowy i dzieciak się rozkrzyzczał, że nie wiada, na czym by się skończyło, gdy naraz Jacek się zerwał, otworzył drzwi i krzyknął:

– Cicho!ta, ścierwy, bo ano są idzie!...

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 3, s. 40]

[Narracja – mowa pozoronie zależna]

Podniosła głowę i jastrzębimi oczami wpiła się w niego, ale Boryna, że człek był w latach, nie wicher żaden, to twarz pokazał zimną i spokojną nie do rozeznania: Długo nie rzekli ni słowa, jakby się tą niemotą mocując ze sobą.

Borynie nijako było zaczynać pierwszemu, bo jakże, w latach już był i gospodarz na całe Lipce pierwszy; no i mógł to zasię tak prosto rzec, co mu się Jaguś udała?...Honor przeciech swój miał i pomyślenie – ale że krwię gorącej był z przyrodzenia, to aże go złość porывała, że musi tak baczyć na siebie, tak kołować a zabiegać.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 3, s. 50]

[Epizacja, patos]

Ksiądz wszedł na ambonę, i wszyscy zadarli głowy i wpatrywali się w dobrodzieja, którego w białej komży pochylił się nad narodem i czytał Ewangelię – a światła i farby były na niego z okien, że widział się wszystkim jako ten anioł płynący na tęczy... Ksiądz mówił długo i tak mocno, że jaki taki westchnął skruszonym sercem, niejednemu łzy pociekły, a którego znów zasie spuszczał oczy i kajał się w sumieniu – i obiecywał poprawę... A Kuba patrzył w dobrodzieja, jak w obraz święty, i aż mu dziwno było, że to ten sam dobry pan, co mówił do niego i dał mu złotówkę bo teraz wyglądał jak archanioł na ognistym wozie brząsków, twarz mu pobladała, oczy ciskały błyskawice, gdy zaczął podnosić głos i wypominać narodowi grzechy wszelkie, a skąpstwo, a pijaństwo, a rozpustę, a czynienie szkód, nieszanowanie starszych, bezbożność! I wołał wielkim głosem o upamiętanie się, błagał, zaklinał, prosił – aż Kuba nie wytrzymał i jął się trząść w sobie z winy tych wszystkich grzechów, z żalów, ze skruchy i ryknął głośnie płaczem, a za nim naród cały: kobiety, gospodarze nawet, że płacz się uczynił w kościele, chlupanie, wycieranie nosów, a gdy ksiądz z pokutną modlitwą zwrócił się do ołtarza i padł na kolana – jęk przeleciał kościół, i naród, jak las przygięty wichurą, runął twarzami na podłogę, aż kurz się podniósł i niby obłokiem osłonił te serca skruszone i łzami, westchnieniami, krzykiem wołające do Pana o zmiłowanie.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 4, s. 57-58]

[Antek i Hanka – elementy mowy pozoronie zależnej]

Siedli na kraju łąk pod krzami, Hanka pokarmiała dziecko, bo płakać poczęło, a Antek skręcił papierosa, zapalił i ponuro patrzył przed się...

Nie mówił on żonie, co go żarło we wąpiach, ni co mu leżało na sercu niby węgiel rozżarzony, bo aniby mógł wypowiedzieć, niby zrozumiała go dobrze...

Zwyczajnie, jak kobieta, co ni pomyślenia nie ma, ni niczego nie wymiarkuje sama, ino żyje se jako ten cień padający od człowieka...

[...] Hanka, że to płaksiwa była, a i zebrało się jej dużo w duszy, buchnęła płaczem i jęła mu wyrzucać, że mówi do niej jak do dziewczki jakiej, że nie dba o nią ani o dzieci.

Aż Antek zerwał się na równe nogi i zawołał urągliwie :

– Wykrzykuj sobie, te gapy ano cię usłyszą i pożalą się nad tobą! – Wskazał oczami na wrony lecące mimo nad łąkami, naciśnął czapkę i wielkimi krokami poszedł ku wsi.

– Antek, Antek! – wołała za nim żałośnie, ale ani się odwrócił.

Obwinęła chłopaka i popłakując szła miedzami z powrotem do domu; ciężko jej było na sercu – ani pogadać ani wyzalic się przed kim na dolę swoją. A to człowiek żyje ciągiem jak ten samson, że nawet do sąsiadów pójść nie pójdzie i pogadaniem serca nie ucieszy. Dałby jej Antek kumy! Nic, ino siedź w chałupie a haruj, a zabiegaj, a jeszcze słowa dobrego nie usłyszysz! Inne do karczmy chodzą a na wesela... a ten Antek... bo to mu dogodzić można?... Czasem taki, że i do rany przyłoż... to znowu całe tygodnie ledwie bąknie jakie słowo i ani spojrzy... nic, jeno medytuje a medytuje... Prawda, że ma i o czym! Bo i ten ociec nie mógłby to już gront im odpisać, nie czas to staremu iść na wycug? A dyć dogadzałaby mu, że i rodzonemu nie byłoby u niej lepiej...

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 4, s. 63-64]

[Narrator środowiskowy]

Tymczasem do karczmy napływało coraz więcej ludzi, bo już mrok gęstniał, zapalili światło, muzyka raźniej się ozwała i gwar się podnosił; naród kupił się przy szynkwasiu, pod ścianami albo i zgoła w pośrodku izby i rał, pogadywał, użalał się, a

kto niekto i przepijał do drugiego, ale z rzadka, bo nie na pijaństwo przyszedli, jeno tak sobie po sąsiedzku postać, pogwarzyć, skrzypic posłuchać abo i basów, coś niecoś posłyszec nowego; niedziela przeciech to odpocząć ni folgę dać ciekawości nie grzech, a choćby i ten kieliszek wypić z kumami... byle przystojnie i bez obrazy boskiej się obyć obyło, to i sam dobrodziej nie bronił... Jakże, i bydlę na ten przykład po pracy odpocząć rade i musi. A zaś przy stole zasiedli gospodarze starsi i kobiety niektóre, przyodziane w czerwone wełniaki i chusty, że widziały się jako te mały rozkwitłe, a że razem wszyscy mówili, to ino szum szedł po karczmie, kiejby boru, i tupot nóg, jakoby bicie cepami w klepisko, i głos tych skrzypic, co ciągiem śpiewały figlujący.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 4, s. 67]

[Narracja – młodopolski stylizator]

Jesień szła coraz głębsza.

Blade dni wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bladsze – niby te święte Hostie w dogasających brzaskach gromnic.

A co świtanie – dzień wstawał leniwiej, stężały od chłodu i cały w szronach, i w bolesnej cichości ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwiatało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś znad zórz, leciały nisko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za nimi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom pochylonym nad drogami, że spływały cicho niby łza – krwawe łzy umarłego lata, i padały ciężko na ziemię.

– A co świtanie – wsie budziły się później: leniwiej bydło szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzeje i ciszej brzmiały głosy przytłumione martwością i pustką pól, i ciszej, trwoźniej tętniło życie samo – a niekiedy przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną... albo i te rogacie, potężne łby podnosiły się od traw pożyłkłych i przeżuwając z wolna, zatapiały ślepia w przestrzeń daleką... daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żałosny ryk tłukł się po pustych polach.

A co świtanie – mroczniej było i zimniej, i niżej dymy rozsnuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po stodołach i brogach, a wrony siadały na kalenicach, to wieszwały się na nagich drzewach lub krążyły nad ziemią kracząc głucho – jakoby pieśń zimy śpiewając żałosną.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 5, s. 72]

[Kultura chłopska]

– Józia, daj no gorzałki i co przegryźć, co mamy na sucho radzić, kiej Żydy jakie – zarządził stary i przysunął przed komin ławkę, na której Józia wnet postawiła butelkę, wianek kielbasy i chleb.

– Napij się, Kuba, i rzeknij swoje słowo.

– Bóg zapłać, gospodarzu... Ostać, tobym się ostał, ino... ino...

– Postąpię ci coś niecoś!...

– Przydać by się przydało, bo to i kozuch zlatuje ze mnie., i buciska też, a i kapot jaki kupiłbym... już jak ten dziadak jaki jest człowiek, że nawet do kościoła iść, to ino do kruchty... bo jakże mi przed ołtarz w takim obleczeniu...

– A w niedzielę nie baczyłeś na to, inoś się pchał tam, gdzie najpierwsze... – rzekł surowo Boryna.

– Juści... Hale... Prawda... – bąkał srodze zawstydzony i ciemny rumieniec oblał mu twarz.

– A to i dobrodziej naucza, żeby szanować starszych. Napij no się, Kuba, na zgodę i słuchaj, coć rzeknę, a sam się pomiarkujesz, że co parobek, to nie gospodarz... Kuźden ma swoje miejsce i la każdego co innego Pan Jezus wyznaczył. Wyznaczył ci Pan Jezus twoje, to go się pilnuj i nie przestępuj, na pierwsze miejsce się nie pchaj i nie wynoś się nad drugie – bo zgrzeszysz ciężko. I sam dobrodziej ci powtórzy to samo, że tak być musi, bych porządek na świecie był. Miarkujesz se, Kuba?

– Nie bydłem przeciech i swoje pomyslenie mam.

– To baczące, byś się nad drugie nie wynosił.

– I... inoś bliżej ołtarza chciał być...

– Pan Jezus z każdego kąta słyszy, nie bój się. I po co się pchać między najpierwsze, kiej wszyscy wiedzą, ktoś jest?

– Juści, juści... gospodarzem byłbym, to i baldach nosić bym nosił, a i dobrodziej pod pachę wiódł, i w ławkach siadał, i z książki głośno śpiewał... a zem ino parobek, chocia i syn gospodarski, to mi w kruchcie stać abo przed drzwiami, jako te pieśki... – powiedział smutno.

– Takie już na świecie urządzenie jest i nie twoja głowa zmieni.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 5, s. 75-76]

[Narracja – młodopolski stylizator]

Deszcze się rozpadały na dobre.

Już od samego jarmarku świat z wolna zatapiał się w szarych, mętnych szkliwach deszczów, że tylko obrysy borów i wsi majaczyły blade, niby z przemięklej przędzy utkane.

Szły nieskończone, zimne, przenikające szarugi jesienne.

Siwe, lodowate bicze deszczów siekły bezustannie ziemię i przemiękały do głębi, aż drzewo każde, źdźbło każde dygotało w beźmiernym bólu.

A spod ciężkich chmur, skłębionych nad ziemią, spod zielonawych szarug wychylały się chwilami szmaty pól poczerniałych, przemiękłych, rozplaszczonych – to wybłyskiwały strugi spienionej wody, płynącej bruzdami, albo czerniały drzewa samotne na miedzach – jak przygięte, nabrzmiałe wilgocią, trzęsły ostatnimi łachmanami liści i szamotały się rozpacznie, niby psy na uwięzi.

Drogi opustoszałe rozlały się w błotniste, gnijące kałuże.

Krótkie, smutne, bezsłoneczne dni wlekły się ciężko przegniłymi smugami światła, a noce zapadały czarne, głuche, rozpaczliwe bezustannym, monotonnym chłupotem...

Przerazająca cichość ogarnęła ziemię.

Umilkły pola, przycichły wsie, ogłuchły bory.

Wsie poczerniały i jakby silniej przywarły do ziemi, do płotów, do tych sadów nagich, poskręcanych i jęczących z cicha.

Szara kurzawa deszczów przysłoniła świat, wypila barwy, zgasiła światła i zatopiła w mrokach ziemię, że wszystko wydało się jakby sennym majaczeniem, a smutek wstawał z pól przegniłych, z borów zdrętwiałych, z pustek obumarłych i włókł się ciężkim tumanem; przystawał na głuchych rozstajach, pod krzyżami, co wyciągały rozpacznie ramiona, na pustych drogach, gdzie nagie drzewa trzęsły się z zimna i łkały w męce – do opuszczonych gniazd zaglądał pustymi oczami, do rozwalonych chałup – na umarłych cmentarzach tłukł się wśród mogił zapomnianych i krzyży pogniłych i płynął światem całym; przez nagie, odarte, splugawione pola, przez wsie zapadłe i zaglądał do chat, do obór, do sadów, aż by było ryczało z trwogi, drzewa się przyginały z głuchym jękiem, a ludzie wzdychali żałośnie w strasznej tęsknocie – w nieutulonej tęsknocie za słońcem.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 6, s. 94-95]

[Jagna – namiętność i instynkt]

Dreszcz nią wstrząsnął gwałtowny i coś jak płomień wichrem przeleciał przez serce i głowę; aż się zatoczyła. Ani wiedziała, co się jej stało, czy ją paliły, jakby zasypane zarzewiem, tchu złapać nie mogła ni przyciszyć serca namiętnie bijącego; rozkładała ręce bezwiednie, jak do obejmowania, rozprężyła się w sobie, bo ją brały takie szalone ciągotki, że omal nie krzyczała... dopędziła wozu, chwyciła się luśni i choć nie potraza było, tak potężnie pchała, aż wóz skrzypiał, chwiały się i główki spadały w błoto... a przed oczami ciągiem widziała jego twarz i oczy roziskrzzone, pożądliwe... palące...

– Smok, nie chłop... chyba takiego drugiego we świecie nie ma... – myślała bezładnie.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 6, s. 99-100]

[Jagna – symbolizm, mowa pozornie zależna]

A bo to jej źle było przy matce? Robiła, co chciała, i nikt jej marnego słowa nie powiedział. Co ją tam obchodziły gronta, a zapisy, a majątki – tyle co nic, abo i mąż? Mało to chłopaków latało za nią? – niechby tylko chciała, to choćby wszystkie na jedną noc się zlecały... i my1 jej leniwie się snuła jak nić lniana z kądzieli i jak ta nić okręcała się ciągle jednako na tym, że jak matka każe, to pójdzie za Borynę... Juści, że go nawet woli od innych, bo kupił jej wstążkę i chustkę... juści... ale i Antek by kupił to samo... a i inne może... żeby tylko miały Borynowe pieniądze... każdy dobry... i wszystkie razem... a bo ona ma głowę, żeby wybierać! Matki w tym głowa, żeby zrobić, jak potraza...

Zapatrzyła się znowu w okno, bo poczerniałe, zwiędłe georginie, kołysane przez wiatr, zaglądały w szyby, ale wnet zapomniiała o nich, zapomniiała o wszystkim, nawet o sobie samej, zapadła w takie prześwięte bezczucie, jak ta ziemia rodzona w jesienne martwe noce – bo jako ta ziemia święta była Jagusina dusza – jako ta ziemia. Leżała w jakichś głębokościach nie rozeznanych przez nikogo w bezładzie marzeń sennych – ogromna a nieświadoma siebie – potężna a bez woli, bez chcenia, bez pragnień martwa a nieśmiertelna, i jako tę ziemię brał wicher każdy, obtulał sobą i kołysał, i niósł tam, gdzie chciał... i jako tę ziemię o wiośnie budziło ciepłe słońce, zapładniało życiem, wstrząsało dreszczem ognia, pożądania, miłości a ona rodzi, bo musi; żyje, śpiewa, panuje, tworzy i unicestwia, bo musi; jest, bo musi... bo jako ta ziemia święta, taką była Jagusina dusza – jako ta ziemia!...

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 6, s. 99-104]

[Jagna – głos natury, mowa pozornie zależna]

A stara, że to już jego nie stało, wsiadła na Jagnę i hajże jazgotać, a wypominać wszystko, co miała na wątpiach... Jaguś siedziała cicho, aż zmartwiła ze strachu, ale kiedy słowa matki dojeły ją do żywego... przecknęła, schowała głowę w pierzynę i buchnęła płaczem i wyrzekaniami... rozżalona była srodze... bo przecież nic temu niewinna... nie zwoływała go do chałupy... sam przyszedł... a na zwiesnę, co matka wypominają... to... spotkał ją przy przełazie... mogła się to wyrwać takiemu smokowi?... kiej ją tak ozebrało, że... a potem mogła się to ograć przed nim?... Zawsze się z nią tak dzieje, że niech kto a ostro spojrzy na nią albo i ściśnie mocno... to się w niej wszystko trzęsie, moc ją odchodzi i tak mdli w dołku, że już o niczym nie wie... co ona winowata?

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 7, s. 108-109]

[Kultura chłopska – posiłek u Boryny]

– No, siadajcie, ludzie kochane, co jest, to zjemy! – zapraszał stary.

Obsiedli po ceregielach różnych, jak to obyczaj każe, ławę i z wolna jedli, a raz w raz pogadywali.

Z misek dymiło parą, że przysłoniła wszystkich jak chmurą, z której tylko skrzybot łyżek, mlaskanie i to słowo niektóre słycać było.

Jadło zwarzyli wybrane, aż się dziwił niejeden, bo i ziemniaki z rosołem były, i mięso gotowane z prażoną jęczmienną kaszą, i kapusta z grochem – rzetelnie ugościli, po gospodarsku, a do tego Boryna ciągiem zapraszał a przymuszała, a Józia ze swej strony i Hanka pilnowały by zasię dolać i dołożyć...

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 7, s. 114]

[Epizacja – bochater zbiorowy]

A naród płynął całą drogą pod topolami ku cmentarzowi; w mroku, co był już przytrząsł świat jakby popiołem szarym, błyskały światła świeczek, jakie mieli niektórzy, i chwiały się żółte płomyki lampek maślanych, a każdy, nim wszedł na cmentarz, wyciągał z tobołka chleb, to ser, to ździebko słoniny albo kiełbasy, to motek przedzy lub tę przygarść lnu wyczesanego, to grzybów wianek, i składali to wszystko pobożnie w beczki – a były one księżę, były organistowe i Jambrożego, a reszta dziadowskie, a któren w nie nie kładł, to grosz jaki wciskał w wyciągnięte ręce dziadowskie... i szeptał imiona zmarłych, za które prosił o pacierz...

Chór modłów, śpiewów, imion wypominanych jęklwym rytmem wznosił się wciąż nad wrótniami, a ludzie przechodzili – szli dalej, rozpraszali się wśród mogił, iż wnet, niby robaczki świętojańskie, jęły jaśnieć i migotać światełka wskrós mroków i gąszczów drzew, i traw zeschniętych.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 9, s. 140]

[Nauki księdza (rozmowa z Antkiem)]

– Co jej ta będzie! – mruknął Antek ze złością, bo jakże, poszedł do dobrodzieja po radę, po uzalenie się, to go ino skrzyczał i jeszcze zabrał, żeby kobyły szukać! Juści, i kobyły szkoda, choć ta i ślepa, i stara, ale zawsze człowiekowi powinna być pierwszozna!

– A ty się opamiętaj i nie pomstuj, boć to ojciec rodzony! Słyszysz!

– Dobrze pamiętam! – odparł ze złością.

– Grzech śmiertelny i obraza boska. A nic ten dobrego nie zwojuje sobie, któren w zapamiętałości rękę podnosi na ojców i przeciwi się przykazaniom Bożym. Masz rozum, toś o tym wiedzieć powinien.

– Sprawiedliwości chcę ino.

– A pomsty szukasz, co?

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 10, s. 145]

[Narracja – elementy epickie, idealizacja]

A wszystko chłopaki młode, dorodne, kiej sosny śmigłe, w pasie cienkie, w barach rozrosłe, taneczniki zapamiętałe, pyskacze harde, zabijaki sielne, z drogi nieustępliwe – same rodowe, gospodarskie syny.

Walili środkiem drogi, kupą całą, ramię przy ramieniu, aż ziemia dudniła pod nogami, a tak radośni, weselni i przystrojeni pięknie, że ino w słońcu grały pasiaste portki, czerwone spencerki, pęki wstęg u kapeluszków i rozpuszczone na wiatr, kiej skrzydła, kapoty białe...

Krzykali ostro, podśpiewywali wesoło, przytupywali siarczyście i szli tak szumno, jakby się młody bór zerwał i z wichurą leciał...

[...] Rzęsisto zagrali na ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi na rozcież wywarł, witał się a do środka zapraszał, ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła.

Szedł ostro i aż dziw, tak młodo wyglądał; wystrzyżony, do czysta wygolony, przystrojony weselnie – urodny był, jak mało który, a przez to, że mocno w sobie podufały i rozrosły, to i posturę już miał z dala widną, i powagę w twarzy niemałą; pośmiewał się wesoło z parobkami, pogadywał, a najczęściej z kowalem, bo mu się wciąż na oczy nawijał.

[...] A matka z synami przyjmowała gości, częstowała gorzałką, usadzała co starsze na ławach i na wszystko oko miała, bo narodu się zwaliło, że i trudno przejść przez izbę, po sieniach stali, w opłotkach nawet. Nie bele jakie to goście, nie! Gospodarze sami, rodowi i co bogatsze, a wszystko krewniacy, powinowaci i kumy Borynow i Paczesi, a drudzy zasie znajomkowie to i z dalszych wsiów zjechali.

[...] Dopiero w jakie dwa pacierze otwarli drzwi komory i organiścina z młynarzową wywiedły Jaguś na izbę, a druhny otoczyły ją wiankiem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były, nie kwiaty, a ona między nimi najśmiglejsza i kieby ta róża najśliczniejsza stojała w pośrodku, a cała w białościach, w aksamitach, w piórach, we wstęgach, w srebrze a złocie – że się widziała niby ten obraz, co go naszają na procesjach, aż przycichło z nagła, tak oniemieli i dziwowali się ludzie.

[...] A potem Jagnę wiedli druźbowie – szła bujno, uśmiechnięta przez łzy, co jej jeszcze u rzes wisiały, weselna niby ten kierz kwietny i kiej słońce ciągnąca wszystkich oczy; włosy miała zaplecione nad czołem, w nich koronę wysoką, ze złotych szychów, z pawich oczek i gałązek rozmarynu, a od niej na plecy spływały długie wstążki we wszystkich kolorach i leciały za nią, i furkotały kieby ta tęczą; spódnica biała rzęsisto zebrana w pasie, gorset z błękitnego jak niebo aksamitu wyszyty srebrem, koszula o bufiastych rękawach, a pod szyją bujne krezy obdziergane modrą nicią, a na szyi całe sznury koralu i bursztynów aż do pól piersi opadały.

Za nią druhny prowadziły Macieja.

Jako ten dąb rozrosły w boru po śmigłej sośnie, tak on następował po Jagusi, w biodrach się ino kołysał, a po bokach drogi rozglądał, bo mu się zdało, że Antka w ciżbie uwidział.

A za nimi dopiero szła Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarzowie, organiścina i co przedniejsi.

Na ostatek zaś całą drogą waliła wieś cała.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 11, s. 169-172]

[Kultura chłopska]

I z wolna zaczęli za stoły iść, a usadzać się na ławach.

Juści, że na pierwszym miejscu państwo młodzi, a w podległości nich ze stron obu co najpierwsi, po uważaniu, po majątku, po starszeństwie aż do druhni i dzieci – a ledwie się pomieścili, choć stoły ustawili wzdłuż trzech ścian.

Tylko druźbowie nie siedli, by posługi czynić, i muzykanci.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 11, s. 176]

[Chłopska mądrość życiowa]

– Jak pić, to już całą kwartą, jak się weselić, to już całą niedzielę. A masz, człowieku, robotę? – pilno rób, kulasów nie żałuj i szczerze się przykładaj! A zdarzy się na ten przykład okazja – wesele, chrzciny albo i zamrze się komu – pofolguj sobie, od-poczywaj, obserwuj i uciechę miej! – A źle wypadnie – kobieta się zmarnuje, bydle ci zdechnie, pogorzel przyjdzie – wola boska, nie przeciw się, bo i cóż, chudziaku, poredzisz krzykaniem a płaczem? – nic; spokojności się ino zbędziesz, że nawet to jadło pokrzywą ci się w gębie wyda! – Cierp przeto i dufaj w Panajezusowe miłosierdzie... Przyjdzie gorsze, kostucha uła-pi cię za grdykę i w ślepie zajrzy – nie próbuj się wypsnąć, nie twoja moc – bo wszystko jest w boskim ręku...

- Juści, kto tam wymiarkuje, kiej Jezus rzeknie: "Do tela twoje – od tela moje, człowieku."
- Tak to, tak! Górą, kiej to błyskanie, lecą boskie przykazy, a nikt, żeby ksiądz, żeby najmądrzejszy, ich nie przejrzy przódzi, aż padną na naród ziarnem dojrzałym!
- A ty, człowieku, masz tylko jedno wiedzieć – byś swoje robił i żył, jak przykazania święte nakazują, a przed się nie wyglą-
dał... Pan Jezus wszystkim zasługi szykuje i wypłaci rzetelnie, co ino komu przypadnie...
- Tym ci polski naród stojał – to i tak ma być aż po wiek wieków. Amen!
- A cierpliwością i bramy piekielne przemoże.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 11, s. 181-182]

[Taniec – witalizm, epizacja, symbolizm, bogactwo stylistyczne]

To i z nagłą huknęli w instrumenty obertasa, że mróz przeszedł kości, a Boryna do Jagny skoczył, przygarnął ją krzepko i z miejsca rytmną takiego oberka, aż dyle zaskowyczały, a on wiał po izbie, zawracał, podkówkami trzaskał, a przyklękaniem z nagłą zawijał, to trzających po izbie się nosił szeroko, od ściany do ściany, to przed muzyką piosneczki śpiewał, że mu po muzyku odkrzykali, i dalej hulał siarczyście i tan wiódł zapamiętałe, bo za nim drugie pary jęły się z kup wyrywać i przytupywać, śpiewać, tańcować i co ten największy pęd brać, że jakby sto wrzecion, pełnych różnobarwnej wełny, wiło się po izbie z turkotem i okręcało tak szybko, że już żadne oko nie rozeznało, gdzie chłop, gdzie kobieta; nic, ino jakby kto tęczę rozsypał i bił w nią wichurą, że grała kolorami, mieniła się i wiała coraz prędej, wścieklej, zapamiętałej, aż światła chwilami gasły od pędu, noc ogarniała taneczników, a tylko oknami lała się miesięczna poświata rozpięchłą, świetlistą smugą, iskrzyła się wrzącym srebrem wskrósł ciemności i wskrósł wirującej gęstwy ludzkiej, co nadpływała spienioną rozśpiewaną falą, migotała i kłębiła się w tych brzaskach jako w sennym widzeniu i przepadała w ćmie nieprzeniknionej, by się znowu wynurzyć i zamajaczyć na mgnienie przed drugą ścianą, na której tknięte światłem szkła obrazów przyskały i mżyły ogniami, i przewalili się, i stoczyć w noc, że tylko ciężkie dychanie, tupoty, krzyki rwały się, plątały i huczały głucho w oślepej izbie.

[...] I tańcowali!

...Owe krakowiaki (...)

...Owe mazury (...)

...Owe obertasy (...)

Takie to tany nieopowiedziane szły za tanami.

Bo tak ano chłopski naród weseli się w przygodny czas.

[...] Wywarli drzwi na rozcież, wywarli okna, a dom buchał wrzawą, światłami, dygotał, trząsał się, trzeszczał, pojękiwał i coraz mocniej hulał, że się już zdawało, jako te drzewa i ludzie, ziemia i gwiazdy, i te płoty, i ten dom stary, i wszystko ujęło się w bary, zwiło w kłąb, splątało, i pijane, oślepe, na nic niepomne, oszalałe, taczało się od ściany do ściany, z izby do sieni, z sieni na drogę płynęło, z drogi na pola ogromne, na bory, we świat cały wirem tanecznym szło, toczyło się, kołowało i nieprzerwanym, migotliwym łańcuchem w brzaskach zórz wschodzących przepadało.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 11, s. 186-188]

[Przenosiny – realizm]

Robili przenosiny Jagusi do męża.

Nieco przódzi przeprowadzili tęgą krowę i przewieźli skrzynkę, pierzyny i statki różne, jakie w wianie dostawała.

Teraz zaś, może w pacierz po zachodzie, kiej zmrozczało i świat się zaciągał mgłami, bo na odmianę szło, wywalili się od Dominikowej.

Muzyka szła na przedzie i rażno przegrywała, a za nią Jagusię, wystrojoną jeszcze po weselnemu, matka wiedła z braćmi i kumami, a dopiero w poddle, gdzie kto wziął miejsce, walili hurmą weselnicy.

[...] Na ganku przed progiem czekał już Boryna, kowalowie i Józka.

Dominikowa wniosła przodem w węzełku skibkę chleba, soli szczyptę, węgiel, wosk z gromnicy i pęk kłosów poświęconych na Zielną, a gdy i Jagusię próg przestąpiła, kumy ciskały za nią nitki wyprute i paździerze, by zły nie miał przystępu i wiodło się jej wszystko.

Wraz też witali się, całowali a życzyli młodym szczęścia, zdrowia i co tam Pan Bóg da, a do izby szli, że wnet zawalili ławy wszystkie i kąty.

Grajkowie, narządzając instrumenty, pobrzękiwali z cicha, aby nie mącić poczęstunku, z jakim wystąpił Boryna.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 12, s. 197-198]

[Kultura chłopska]

Usadzili się po starszeństwie i jak przystało na przenosinach, z Dominikową i jej chłopakami w pośrodku; drużny i drużbowie zasiedli razem, przy sobie, a Boryna z Jagusię ostali na izbie, by posługiwać i mieć baczenie na wszystko.

[W. Reymont, Chłopi, t. I, r. 12, s. 202]

Źródło: W. Reymont, Chłopi, t. I, Warszawa 1990